

Haendel handluje, Bach pości

Dlaczego czasem kanon nie pomaga widzowi? Czy dlatego, że porównywanie Gajosa, Wilhelmięgo i Treli z Emilianem Kamińskim, Olafem Lubaszenką i Maciejem Miecznikowskim jest bezcelowe? Częściowo (przecież odrzucanie aktorskiej hierarchii i wiedzy ekspertów jest dziś częste, a o gustach podobno... - i tak dalej). Bo z innego założenia wychodził pracując ćwierć wieku temu Kazimierz Kutz, a z innego dwa lata temu Krzysztof Jasiński? Ciepło, ciepło. Niewątpliwie inny jest też docelowy odbiorca wyobrażony obu spektakli, inne są cele przyświecające reżyserom. Spektakl Kutza powstał w ramach misyjnej (sic!) działalności Telewizji Polskiej. Drugi jest produkcją Teatru Kamienica, jednej z pierwszych polskich prywatnych scen, która działa w mieście stołecznym, na styku sztuki, przemysłów kultury i rozrywki. Przede wszystkim jednak trudno myśleć o kanonie, gdy siedzi się w parku, wieje ciepły wiatr, niemal wszystkie miejsca zajęte, zajęte także leżaki, a z pobliskiej kawiarni dochodzi zapach kawy...

Krzysztof Jasiński w 1988 roku wystawił „Kolację...” w Teatrze STU z Janem Nowickim, Jerzym Bińczyckim i Janem Peszkiem w obsadzie i była to jedna z pierwszych polskich realizacji sztuki Paula Barza. Nie sposób zatem zarzucić mu nieznamomości niuansów i wszystkich płaszczyzn tekstu. Wszystkie decyzje, których efekt widzimy na scenie, należy uznać za celowe. Jaka to zatem „Kolacja...”? Wystawna, elegancka, pełna wyrazistych smaków i równie wyrazistych deklaracji, a jednak nie wszystko zostaje w jej trakcie wypowiedziane. Nie jest to kuchnia fusion, na pewno też nie molekularna - to raczej propozycja tradycyjna jak śledzik pod pierzynką czy dobrze doprawiona dziczyzna, podawane na drogiej zastawie w restauracji pełnej stylowych mebli.

Z przedstawienia pokazanego na scenie plenerowej w Parku Źródłiska wynika, że dla reżysera najważniejsza była sfera komediowa, zbudowana na błyskotliwym pomysle spotkania dwóch wybitnych kompozytorów swojej epoki, Haendla i Bacha, nota bene rówieśników. Spotkania, do którego nigdy nie doszło, a przecież mogło - już ten zabieg pozwala Barzowi otworzyć furtkę do czegoś więcej niż tylko nobilitującego widza kontaktu z tematyką z kręgu kultury wysokiej (autor sam pozostał jednak na poziomie formy popularnej, przystępnej). Nobilitujący jest też inteligentny humor sztuki, bazujący na detalach z biografii kompozytorów, wyrazistych temperamentach i domniemyanych relacjach między nimi, dość czytelnych, bez wielu miejsc, które trzeba sobie dopowiedzieć - i ta komunikatywność to kolejna zaleta Barza. W „Kolacji...” jest też zawsze piękne oraz chwalebne, że niezauważenie pozwala widzom poczuć się kimś lepszym, bardziej obytym, więcej wiedzącym. I Krzysztof Jasiński również im na to pozwala. Nie próbuje natomiast wchodzić z wymową spektaklu na poziom najwyższy, nie podkreśla elementów swoistego traktatu o istocie sztuki i twórczego geniuszu. Nie rezygnuje jednak z wątku uzależniania twórczej jednostki od uwielbienia oglądanego w oczach innych oraz niespełnienia, którego nie nasycą ani pieniądze, ani pozycja, bo za nimi idzie stale strach o pojawienie się „konkurenta” (u Barza Haendel dystansuje się do tych kwestii, a Bach lepiej lub gorzej skrywa kompleksy, choć obu kwestie te żywotnie dotyczą). Wątek ten podany jest jednak raczej wprost - zwłaszcza wewnętrzny dramat Haendla jest przez Emilianę Kamińską tylko w kilku scenach zasygnalizowany. Odwracają od niego uwagę przesada w gestach i ogólne rozedrganie granej postaci, zbliżające spektakl ku farsie - bo nie znajdują one dla siebie przeciwwagi. Ale taki był zamysł, by z Haendla uczynić barwnego, puszącego się, salonowego bażanta, który rozmięta swój talent na drobne. Bach, ubogi, a może ascetyczny (lub skąpy?) lipski kantor, w ujęciu Lubaszenki jest jego przeciwnością, nie tak wcale oczywistą, bo aktor wyposaża go w pewne pokłady ironii skrytej za posągową twarzą. Obaj aktorzy często puszczaają oko publiczności lub grają ku niej i pod nią. Można by na to utyskiwać. Tak jak na konwencjonalność przytyków adresowanych do decydentów i polityków lekceważących kulturę, którzy próbują artystów (ekonomicznie czy ideologicznie) zniewolić. Publiczność chwyta je łatwo i nagradza

okrzykami oraz brawami. Komuś innemu mogą nie podobać się kostiumy i scenografia, niby jak „jak z epoki”, a będące krzykliwym pastiszem, wariacją na ich temat; o weryzmie tu nie może być mowy – o wystawności, owszem. Czy to źle? Tu do głosu dochodzą dwa zastrzeżenia.

Po pierwsze: od początku wiadomo, jaki repertuar przeważa w Teatrze Kamienica, a nawet gdyby nie przeważał, to Emilian Kamiński sam jest sobie sterem, żeglarzem i okrętem – od lat. I z powodzeniem. Jak na polskie warunki wręcz z sukcesem. Stworzył markę lubianą, popularną, i albo chodzi się do jego teatru i akceptuje te reguły, albo się nie chodzi. Jeśli ma on ochotę na „misję” – zrobi ją. Jeśli ma ochotę na popularną sztukę – tak samo. Robi to na swoich warunkach, tzn. nie tłumacząc się nikomu, no chyba, że niezadowolonemu widzowi. Gdyby Kamienica była teatrem publicznym – sprawa nie byłaby tak oczywista. Najpewniej też ta „Kolacja...” wyglądałaby inaczej.

Po drugie (ważniejsze, kluczowe dla prezentacji spektaklu w Łodzi): odbiór „Kolacji...” determinowany jest przez kontekst. Tak, miejsce czyni spektakl. Letnia Scena Monopolis w Parku Źródłiska stała się bowiem, całkiem szybko, bo po ledwie trzech odsłonach, wydarzeniem społecznym. Doświadczeniem o pewnym walorze wspólnotowym niż jedynie czy przede wszystkim artystycznym (co dobrze wróży teatrowi, który ma powstać na terenie Monopolis, zapowiadanego niejako przez Letnią Scenę). Nie tylko wykorzystuje ona walory parku, ale przez profesjonalizm, z jakim jest przygotowana, zagospodarowanie przestrzeni, oświetlenie drzew – sama czyni go miejscem lepszym, bardziej ekskluzywnym. Zostając tutaj widzem, trudno kłócić się z przyjętymi na dany wieczór „zasadami” i żałować, że nie zostało się w domu, by doczytać ostatni tom „W poszukiwaniu straconego czasu” lub „Biesy”. A żeby zostać widzem z miejscem siedzącym trzeba jednak pofatygować się – odebrać wejściówkę w siedzibie Virako, organizatora Letniej Sceny. Perwersją lub szaleństwem byłoby wtedy obruszenie się (na siebie? na organizatorów?) na lekki charakter przedstawienia – zwłaszcza, że ma ono dwa lata, było opisane, recenzowane i są to informacje łatwo dostępne. Częścią konwencji, w jakiej oglądamy „Kolację...” jest też obecność Macieja Miecznikowskiego, bardziej osobowości telewizyjnej i piosenkarza, niż aktora, obsadzonego w roli lokaja, który już otwarcie sięga po farsowo-estradowe chwytły, gdy śpiewa i gra na gitarze prostą melodię lub popisuje się skalą głosu (tak, jest wyedukowanym w gdańskiej akademii muzycznej basem). Przy okazji pokazuje, że akustyka parku i świetne nagłośnienie LSM mają potencjał, by przyjąć także np. małe formy operowe. A nietrudno przecież wyobrazić sobie na plenerowej scenie Monopolis także realizacje wymagające skupienia, np. „Ostatnią taśmę Krappa” z Andrzejem Sewerynem. Ba, drugim przedstawieniem Letniej Sceny Monopolis byli świetnie przyjęci po premierze „Emigranci” Mrożka z Piotrem Cyrwusem, pierwszym „Szkoła żon” Moliera z Sewerynem (obydwa przedstawienia z Teatru Polskiego w Warszawie). Rozpiętość gatunkowa jest widoczna, choć oczywiste są punkty wspólne dla wszystkich zaproszonych spektakli (a przenoszenie spektakli na scenę plenerową z pudełkowej niesie pewne ograniczenia, choćby już na poziomie wyboru tytułów). Park jednak, o czym przekonujemy się właśnie, może, lecz nie musi być dobrym miejscem tylko do zabawy. Kolejna prezentacja 12 września.